Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem

Nr. 36 (491). *WARSZAWA, 8 września 1928 r.* *ROK XXI*



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

KONTO P. K. O.: „Centralny Związek Polskich Stow. Łowiec." 8082.
ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15, za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENA OGŁOSZEŃ: Za każdy milimetr 1-szpaltowy za tekstem 35 groszy, 2-szpaltowy 75 groszy; przed tekstem: 1-szpaltowy 50 groszy, 2-szpaltowy 1.10 zł.; na karcie tytułowej 1-szpaltowy 70 groszy, 2 szpaltowy—1.50 zł. W numerach ozdobnych ceny ogłoszeń są o 50% droższe.

W sprawie Konkursu Fotograficznego.

Otrzymaliśmy szereg fotografij przeznaczonych na Myśliwski Konkurs Fotograficzny, bez przestrzegania warunku tajności autorstwa.

Przypominamy przeto i podkreślamy wyciąg z warunków konkursu opiewający:

„Nazwisko należy pomieścić w zamkniętej kopercie zaopatrzonej w godło takie samo, jakie mają nadesłane fotografje".

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Myśliwski Konkurs Fotograficzny.

Redakcja „ŁOWCA POLSKIEGO", dążąc do udoskonalenia strony ilustracyjnej pisma, zwyczajem dorocznym, ogłasza niniejszem myśliwski konkurs fotograficzny i wzywa ogół myśliwych do nadesłania ciekawych i pięknych zdjęć łowieckich, które nadawałyby się do reprodukcji w naszem piśmie.

Nazwisko należy pomieścić w zamkniętej kopercie zaopatrzonej godłem tem samem, co i nadesłane fotografje.

Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z polowań, zwierzyna żywa i ubita, piękne psy myśliwskie oraz trofea łowieckie.

Jako nagrodę I wyznaczamy zł. 100, drugą — zł. 75, trzecią — zł. 50, czwartą i piątą po zł. 25.

Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem I października. Nagrodzone fotografje zostaną zamieszczone w „Łowcu Polskim"; pozostałe zaś — zależnie od uznania Redakcji.

„Jury" stanowi Komitet Redakcyjny.

Warunkiem otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie takiejż reprodukcji — jest dobra, ostra fotografja na papierze bromosrebrnym; kolor jej nie może być bronzowy (sepjowy).

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO"



Piękny rozkład głuszcowy. Fot. p. Edwarda Ordy.

PIERWSZE MOJE WSPOMNIENIA ŁOWIECKIE.

Pierwsze moje prawdziwe polowania urządzałem na kszyki. Tuż za parkiem zaczynała się rozległa łąka, dziś zirrygowana i osuszona, a w owe czasy stanowiąca bagno porosłe szuwarami i tatarakiem, śród których przeglądały zdradliwe oczka. Późną jesienią, gdy park stawał się przejrzysty, a dróżki suto przysypane żółtym liściem, zlatywały na to bagno liczne rzesze kszyków. Ciąg zaczynał się o zachodzie słońca i trwał do zupełnego zmierzchu.

Przy pomocy małego chłopaka w moim wieku, od brzegu na kilkadziesiąt kroków w głąb bagna. układaliśmy szereg desek, które ostrożnie przed okiem ogrodnika, wynosiliśmy na własnych plecach z oranżerji w ogrodzie. Zdobywanie tych desek stanowiło nielada trudność, a bez nich nie mogło być polowania — kszyki nie zapadały u brzegu.

Gdy prawdziwie w pocie czoła sporządzony był pomost, o zachodzie słońca byłem na stanowisku. Towarzyszyło mi kilka psów. Piękny seter, wyżeł mego ojca, trzy pointery mych starszych braci, którzy już po skończonych wakacjach wyjechali do miasta, oraz mój jamnik. Mądre zwierzęta prędko poznały i zrozumiały, na czem polegały me „łowy". To też razem ze mną, umieściwszy się na pomoście, cierpliwie oczekiwały przylotu kszyków.

Dzień zamierał, ucichły głosy ludzkie, ostatni robotnicy wracali z pola, a zdala dolatywał tęskny śpiew wiejskich dziewcząt. Chłodny powiew przeleciał od błota i niebawem na tle iskrzącej się zachodniej zorzy ukazał się pierwszy kszyk. Ze stulonemi skrzydłami spadł z góry, przeleciał w zygzakowatej linji nad błotem i usiadł na kępinie. Dopiero zaczynała się robota poczciwych piesków. Wszystkie pięć jak na komendę pędem ruszały w to miejsce, kszyk się zrywał i okładał, psy za nim, jamnik nie mogąc na swych krótkich nogach zdążyć za wyżłami, gonił z tyłu głosem. Gonitwa za małym, zwinnym ptakiem, który co kilkadziesiąt kroków zapadał i znów się zrywał, trwała tak długo, aż przed psami nie usiadł inny kszyk i nie uwolnił swego „kolegi" od prześladowania.

W miarę zapadania zmierzchu ilość kszyków przybywała, psy, goniąc wciąż wpadały na nowe i w końcu rzesza długodziobych ptaków zaczynała mi krążyć nad głową. Dopiero padały moje strzały. Bez wątpienia byłoby ich bardzo dużo, gdybym już posiadał odtylcową broń; ale wówczas miałem jeszcze kapiszonówkę i ze względu na ostrożność mego ojca tylko pojedynkę. To też najwięcej czasu traciłem na nabijanie. Z założeniem kapiszonu nie upływało jednej chwili, jak grzmiała moja fuzyjka.

Polowanie to trwało do zupełnego ciemna, a rezultatem jego był jeden, a raz nawet trzy kszyki, zdobyte jednego wieczoru. Z wielkim tryumfem przynosiłem je do domu i prezentowałem ojcu.

Ale niebawem skończyły się dni Aranjuezu. Gdy miałem lat 10 oddano mię do szkoły. Z polowania mogłem już tylko korzystać w czasie wakacyj letnich i zimowych. Rzewnemi łzami pożegnawszy jamnika i wyżła Plutona, nieodstępnych towarzyszy wszystkich moich wypraw myśliwskich, wyjechałem, a raczej wywieziono mnie do Wilna. Od pierwszego dnia przyjazdu, budząc się zrana i kładąc się

spać, rachowałem dni, dzielące od feryj, a na parę dni przed wyjazdem odbiegał sen; marzyłem o polowaniu. Gdym przeszedł do drugiej klasy, otrzymałem od ojca prawdziwą strzelbę; była to „Bekkierówka" szesnastego kalibru. Niczego mi wówczas nie brakowało do szczęścia.

Czułem się wobec takiej strzelby prawdziwym myśliwym; z pogardą, aczkolwiek jeszcze pożądliwem okiem spoglądając na przelatujące po parku sójki, marzyłem już o zającu.

*

Polowanie letnie, jak zwykle, zaczynało się od kaczek. W dzień Ś. Piotra i Pawła starego stylu wyruszano w większem towarzystwie myśliwych-sąsiadów, zapraszanych przez mego ojca. Jechało się dwiema czwórkami, zaprzężonemi do drabiniastych wozów, tak zwanych „kar", wraz z kucharzem, służbą, dużym zapasem różnego jadła i starej wódki.

Miejscem tych łowów był folwark Usza, na którego rozległym stawie roiło się w owe czasy od kaczek. U brzegu stawu czekały liczne łodzie: „duszehubki" wydrążone z jednego pnia osiki oraz płaskodenne „czajki" zbijane z desek. Przewoźnicy byli to wszystko miejscowi gajowi i myśliwi. Dziś ich synowie, gdy prawo własności zastosowano u nas do zwierzyny i polowania, są przeważnie kłusownikami. W owe czasy, gdy od zwierza „roiło się w borach, ptactwa było co niemiara", a kraj zaludniony rzadko, plagi kłusowniczej nie znano i z bardzo małym wyjątkiem nikt polowania u siebie nie bronił — starczyło dla wszystkich.

Na kaczki polowano z gończymi. Kilku wprawnych gajowych „wycierało" po brzegach stawu, jego dopływach i zatokach, a psy wypłaszały młode z szuwarów. Kanonada powstawała nadzwyczajna, a rozkład dzienny wynosił około stu dwudziestu sztuk.

Od chwili otrzymania mojej bekkierówki, brałem już udział w tych kaczych polowaniach jako samodzielny myśliwy na osobnej łodzi. Zawdzięczając początkowej nauce strzelania kulką z montechrystki, posiadałem umiejętność i mimowolne przeświadczenie o konieczności precyzyjnego celowania, to też osiągałem nienajgorsze rezultaty.

Po obiedzie, gdy kaczki wypłoszono ze stawu, zarządzano połów ryb niewodem. Kilka wziętych toni przynosiło sporą ilość szczupaków, okoni, jazi i płotek, śród których przytrafiały się bardzo duże okazy.

Prowadził te polowania i połowy stary Winksza. Był to jeszcze strzelec mego dziada, potem główny łowczy ojca, brał czynny udział w powstaniu, przechowywał myśliwską broń ojca w lasach, gdy niewolno było jej trzymać, a na starość otrzymał ów folwark w bezpłatną, dożywotnią dzierżawę.

Ciekawe były jego opowiadania o dawnych czasach. Liczył wówczas z górą osiemdziesiąt lat, mógł więc dużo pamiętać i miał co opowiedzieć. Z natężoną uwagą słuchałem o dawno minionej przeszłości. Szczególnie zaciekawiały mnie łowy na grubego zwierza, którego sporo Winksza i sam upolował i dla dziada osaczał i otrapiał.

O kilometr od dworu, tam gdzie obecnie są najpiękniejsze irrygowane łąki, w owe czasy „jak mur" stały niebotyczne lasy, a w miejscu, gdzie rówieśnik tych byłych puszcz, pozostał pojedyńczy dąb, Winksza prowadził dziada do barłogu niedźwiedzia. Na wyspach wśród stawu były słynne łosie „zaboje", w niedalekiem sąsiedztwie trzymały się bobry, wydry były liczne, jak obecnie wodne szczury, a rysie stanowiły pospolitą zwierzynę. Raz, jadąc czółnem przez zatokę stawu Pluszczaje, spotkał Winksza niedźwiedzicę, kąpiącą swe małe. W dniu chrzcin mego ojca w pogoni za postrzeloną sarną, którą mu polecono dostarczyć do stołu, przestrzelił sobie rękę. Wysłany na zwiady przez partję powstańców, obozującą w jego rewirze, spotkał oddział kozaków; nie mogąc się ukryć ani wycofać, potrafił ich zmylić i przystać na przewodnika. W tej roli skierował wywiad w inną stronę i partję tem ocalił. Wysłano go raz ze dworu z furgonem naładowanym bronią i amunicją do partji pod Ilją. Zrana o świcie, gdy z ładunkiem przybywał na miejsce, ujrzał pędzących drogą kilku konnych kozaków. Z pistoletem w ręku — skoczył z wozu, kilka kul gwizdnęło mu ponad głową, ale Winksza dobiegł do lasu i ukrył się w puszczy Usłyszał wkrótce rosyjską komendę, — zarządzono na niego obławę. Przeleżał pod wywrotem przytulony do ziemi, a naganka szczęśliwie ominęła go o dwadzieścia kroków. Przeczekał do ciemna, poczem wyszedł z lasu i udał się do Obudowców pani Beldanowiczowej, która dla niepoznaki czwórką koni w karecie odesłała go do Malinowszczyzny. Dziwnym zbiegiem okoliczności nie poznano po koniu właściciela wozu z orężem.

Wraziła mi się też w pamięci życiowa sentencja, którą usłyszałem z ust Winkszy! Polowano z gończymi. Psy ruszyły pięknego rogacza, którego zastrzelił mój ojciec. Przy śniadaniu w lesie, gdy omawiano wypadki dnia, rzucił ojciec kawał chleba Cymbałowi ze słowami: „Pyf piesku, masz to za ruszenie kozła".

Na to zauważył pan P. „Pan się myli, rogacza ruszył Zagraj".

— Co też pan mówi, ruszył Cymbał, ja wyraźnie słyszałem.

— Ja byłem też niedaleko i widziałem, jak za kozłem szedł początkowo jeden Zagraj, a potem dopiero przyłączyły się inne ogary.

— Nie panie, to panu tak się zdaje, Cymbał to najlepszy pies, on zawsze pierwszy znajdzie zwierza, a zresztą zapytajmy Winkszy, on był z psami i wie najlepiej.

Przywołano Winkszę, który, stojąc z boku, przysłuchiwał się tej rozmowie.

— No, niech Winksza nam powie, — zwrócił się do niego mój ojciec, — przecież Cymbał znalazł i ruszył rogacza?

— Tak, panie, Cymbał.

— A co, nie mówiłem!

Wobec słów tak kompetentnego świadka, — rozmowa się urwała. W pół godziny potem usłyszałem prowadzoną na stronie rozmowę na ten sam temat pana P. z Winkszą.

— Co też Winksza mówi, rogacza bardzo blisko od mego stanowiska ruszył Zagraj, ja to wyraźnie słyszałem.

— Tak to tak, ale kiedy nasz pan chce, żeby to był Cymbał, to niech będzie Cymbał.

Wówczas jeszcze, będąc dzieckiem, nie rozumiałem życiowej praktyczności tej odpowiedzi, do której doszedł Winksza po osiemdziesięciu latach.

*

W kilka dni po kaczem polowaniu zaczynał się w owe czasy sezon polowań z wyżłem na cietrzewie i dubelty. Cietrzewi i błotnego ptactwa, szczególnie dubeltów, było bardzo dużo. Olbrzymie obszary obecnych łąk dworskich i włościańskich stały wówczas nieosuszone i porośnięte olszyną i ło-

żą. Miejsca, w których jako dziesięcioletni chłopak brnąłem po kolana w wodzie, dziś się zamieniły na kwitnące łąki. To też musiało głównie wpłynąć na tak gwałtowne zmniejszenie się u nas ilości dubeltów. Te łozy to były ich miejsca lęgu, skąd w lipcu i sierpniu wylatywały na łąki i torfowiska.

Na szczęście podobny los nie spotkał cietrzewi. Ilość ich i w obecnej chwili jest w prostym stosunku do ochrony i powierzchni porębów. I dawniej zawsze, gdy został wycięty większy obszar lasu i nie zamieniony na inny użytek, w miejscu tem gwałtownie wzrastała ilość cietrzewi, utrzymywała się przy umiarkowanym odstrzale przez kilka, do dziesięciu lat, i w miarę odrastania zagajników znów się zmniejszała, aż wreszcie znikała, ustępując, w zależności od charakteru lasu, miejsca głuszcom lub jarząbkom.

BOLESŁAW ŚWĘTORZECKI.

(Dokończenie nastąpi).



Dziw natury: młody kogut bażanci o trzech nogach.

NA STAWACH W UŁĘŻU I PODLODOWIE.

Dzięki gościnności p. min. Janickich, za którą składam im serdeczne podziękowanie, odbyłem w sierpniu 1928 r. piękną samochodową wycieczkę do Ułęża w Garwolińskim i zapolowałem na kaczki na wielkich stawach rybnych Ułęża i Podlodowa.

Stawy te zarośnięte szumnem, falującem morzem srebrzysto-zielonej trzciny, tu i owdzie przybrane barwistemi kępami amarantu, przedzielone były groblami porośniętemi dziewiczą i niemal wiosennie bujną roślinnością. Każdy chwast, każde zielsko, skromne i niepozorne na innej ziemi, tu rozrastało się kwietnie i radośnie, stając się najczarowniejszym bukietem, najrozkoszniejszym pękiem zieleni i barw... Nawet krwawnik dosięgał tu bujności krzewu, ciesząc oczy olbrzymiemi koronami biało-różowych kwiatów... Na pobrzeżu zaś stawów czerwieniły się olbrzymie grona jarzębin, płonęły złociście kępy indyjskich konopi.

Wyszliśmy rano groblami ku miejscu, gdzie miał być przelot kaczek. Widziałem na środku zarośniętego stawu moc kszyków, widziałem zdaleka dużo kaczek, ale na dobry strzał nie nadlatywały... Innym myśliwym powiodło się lepiej.

Po obiedzie pojechaliśmy do Podlodowa (maj. pp. Meisnerów). Strzelcy stanęli na grobli, psy puszczono w szuwary. Zaroiło się od kaczek. Zabrzmiały łopoty porywających się ptaków, huk strzałów, nawoływania psów... Spuściłem pięć kaczek z rzędu, zaraz na pierwszem stanowisku. Wszystkie pięć padło za mną w szuwar. Dokładnie pamiętałem miejsce, gdzie leżały. Podnieść je można było dopiero po dwóch następnych miotach. Prąd uniósł je wskutek silnego wiatru daleko w głąb trzciny i z wielkim trudem zdołano je znaleźć.

Zabiłem jeszcze parę kaczek. Zbliżał się wieczór. Słońce pochylało się coraz niżej, zapadając

za szaro-fiołkowe pasmo chmur. Brzęk komarów rozbrzmiewał dokoła. Stałem pod drzewem na grobli, przed sobą mając usypiający staw.

Czasem żaba zarechotała, czasem coś plusnęło w srebrnej wodzie. W oddali widniał czarnozielony przemglony pierścień sosnowych borów. Niebo było bez chmurki, wieczór bezwietrzny, za mną słońce, które już zaszło, zostawiło poblask złoty na obłokach. Gdzieś w błękitnych dalekościach nieba rozbrzmiewał świst ciągnącej dzikiej kaczki...

Z pobrzeżnego szuwaru — tuż przedemną — wypłynęło sześć nielotnych jeszcze cyranek... Nie widziały mnie, nie słyszały mnie... Płynęły koło mnie beztroskie i spokojne... Odstawiłem broń...

JULJAN EJSMOND.

Z OSZCZEPEM NA NIEDŹWIEDZIE.

Zob. Nr. 35.

Zanim przystąpię do opisu rohatyn używanych w tajgach, wspomnę o barbarzyńskiej rohatynie, w rodzaju harpuna. Na szczęście mało kto jej używa. Barbarzyńska ta broń była dla mnie nietylko wysoce niesympatyczną, lecz miała przedewszystkiem tę ujemną stronę, że raz pogrążonej w cielsko niedźwiedzia wydostać nie było można, a zwierz, bądź wytrąciwszy drzewce z rąk myśliwego, bądź też złamawszy je w pogoni za swym mordercą, przewracał się przez tkwiący w nim drąg, lub starając się go pozbyć, rwał bezlitośnie swe cielsko i wyszarpywał wnętrzności. Wstrętni też dla mnie byli myśliwi, którym podobne widowisko zwierzęcych męczarni sprawiało dziką rozkosz.

Cały urok ręcznej walki z niedźwiedziem, z tem rozumnem zwierzęciem, stanowiła błyskawiczna chwila, w której myśliwy, w sekunde zawisłej nad jego głową śmierci, umie uchronić się przed nią, przez nagłe, zręczne, silne a trafne uderzenie zwierza w najczulszy jego organ, obalić je, obezwładnić i zadać śmiertelne pchnięcie.

Dlatego też rohatyna, ażeby odpowiadała swemu przeznaczeniu, powinna być jaknajstaranniej zbudowana.

Trzon dębowy nie nadaje się do tego celu Byłem raz świadkiem walki strzelca, któremu niedźwiedź skruszył w zębach trzon dębowy rohatyny: gdyby nie odważna pomoc, niechybnie niedźwiedź dosięgnąłby łapami czerepu nieszczęsnego łowcy.

Osacznicy najwięcej używają trzonów z nieociosanej czarnej czeremchy, lub jarzębiny. Grubość trzonu musi być odpowiednia do ujęcia go w rękę. Występy sęków należy pozostawić dla łatwiejszego oporu na nich dłoni.

W chwili silnego naporu zwierza na drąg, zabezpieczają one przed ześliźgnięciem się dłoni po drągu, z czego rozumny, a chytry misio umiałby niechybnie skorzystać i przyciągnąć do siebie przeciwnika. Takiego drzewa poszukuje osacznik w miejscach suchych, gdzie rośnie ono powoli, jest więc mocniejsze i trwalsze, a twarde niemal jak żelazo. Suszy je wolno w cieniu, by uchronić od pękania i od utraty elastyczności, Nie jest kruche i nie łamie się pod zębami niedźwiedzia, których ślady na niem pozostają odciśnięte nazawsze. Drąg taki jest stosunkowo do swej mocy dość cienki, uchwytny i niezbyt ciężki.

Ostrze oszczepu musi być zrobione z najlepszej stali, obosieczne, jak brzytwa ostre i gładkie, do 5 — 6 ctm. szerokie, a 20 c. długie, z pogrubieniem całego środka, a końcem cokolwiek zaokrąglonym (nigdy nie śpiczastym), a to dlatego, by przy silnem uderzeniu o kość nie skruszyć go i do dalszej walki nie zrobić nieużytecznem. Podłużne rowki do ścieku krwi nie są zalecane, gdyż osłabiają one tylko ostrze, a krew z szerokiej rany i bez tego całym strumieniem gwałtownie ścieka. Nawet z ran zadanych niedźwiedziowi wąską piką tylko, krew obficie uchodzi. Tulejka żelazna musi być dostatecznie głęboka (6 — 7 cm.) i przedłużona wąskiemi sztabkami dla lepszego umocnienia na drzewcu, które w celu zabezpieczenia od wilgoci i gnicia w tulejce, smaruje się tłuszczem i zalewa smołą. W końcu tulejki umieszcza się „kolczyk" t. j. „uszko", służące do przymocowania rzemienia „poprzeczki", t. j. wąskiej deseczki, lub kantówki, niedopuszczającej przy silnem pchnięciu przejścia żelaza na wylot przez zwierza, co jest niemniej niebezpiecznem, jak wytrącenie z rąk lub zdruzgotanie oszczepu. Poprzecznicę taką, zaledwie o 6 cm. dłuższą od szerokości ostrza, przymocowuje się rzemieniem do uszka dość krótko, by nie uderzała o trzon, lecz swą ruchliwością około niego, nie przeszkadzała swobodnemu manewrowaniu rohatyną w gęstem zadrzewieniu, nie czepiała się za wiotkie gałązki. Tak urządzona ruchoma poprzecznica jest o wiele praktyczniejszą od fabrycznych rohatyn z długimi, poprzecznymi wąsami, tamującymi swobodne poruszanie rohatyną w gęstwinie, udaremniającymi prawidłowe pchnięcie zwierza w upatrzone miejsce, co też nieraz spowodowało nieszczęście dla myśliwego.

Bywały wypadki, że mądry zwierz opierał się łapami o długie wąsy tulejki, wyszarpywał z ciała żelazo i brał myśliwego za bary; podobnego wypadku przy ruchomej i mało widocznej poprzecznicy być nie może, ani też nie przeszkadza ona w ciasnym kącie i zalesieniu ruchom strzelca, uginając się swobodnie przed każdą przeszkodą i zawadą, a przytem spełniając znakomicie swą powinność w walce.

Nie potrzeba zatem być specjalistą, by nie uznać wyższości domowej rohatyny nad fabryczną z nieruchomymi wąsami.

Żelazo osadza się na grubszym końcu trzona czeremchowego, ponieważ lepiej ująć je w ręku w ten sposób. Pozatem grubszy koniec daje więcej oporu zębom i pazurom zwierza i nie tak łatwo daje się skruszyć przez niego. Przy zadawaniu ciosu, klingę trzymać należy pionowo, gdyż wtedy wbija się ona w ciało łatwiej, omijając twarde kości łopatki lub żebra.

Długość oszczepu niektórzy myśliwi uzależniają od wzrostu człowieka. Trudno z tem zdaniem pogodzić się i można to uważać za absurd. Jakżeby wyglądał drab olbrzymi z takim dyszlem w gęstym lesie, a mały, nikczemny chuderlak, musiałby używać skalpela chirurgicznego. Długość drąga winna przedewszystkiem odpowiadać potrzebie, by nasadzony na oszczep misio nie mógł łapami dosięgnąć głowy, lub rąk myśliwego, a powtóre, by w ciasnem miejscu nie utrudniać swą długością ruchów i manewrowania nią myśliwemu.

Praktyką ustanowiono więc długość drąga razem z żeleźcem, do 2,13 metra. Takim drągiem może władać tak dobrze olbrzym, jak i przeciętny człowiek, zręczny i śmiały naturalnie. W wielu miejscowościach widywałem drzewce nabijane blaszkami dla umocnienia i zabezpieczenia od pazurów i zębów zwierza, więcej jednak

przypadło mi do gustu owijanie wąskim surowcem całego trzona, co w tajdze zwą „palmą-rohatyną". Oszczep zaś z przymocowanym na całą długość trzona rzemieniem, ma tę dogodność, że zwierz nie łatwo może wytrącić z rąk osacznika ruchomy drąg, trzymany lewą ręką za rzemień, przyczem zwierz w rozmachu traci często równowagę, z czego korzysta-roztropny myśliwy.

Koniec oszczepu, tak zwaną „piętę" poczytać można za najwłaściwszą metalową, bynajmniej nie ostro zakończoną, by samemu nią się nie przebić, a dość tępą i znacznie grubszą od końca drąga, mogącą przez to dać pewniejszy opór myśliwemu, oburącz dźwigającemu cały ciężar wiszącego i silnie napierającego na drugi jej koniec zwierza.

Główną zasadą oszczepnika jest nieodejmowanie nigdy od końca rohatyny rąk, gdy zwierz wisi na jej drugim końcu.

Niedźwiedź jest wówczas niby przebita ryba, trzepocząca się na ościeniu rybaka. Różnica jednak jest ogromna. Gdy ryba urwie się z ości rybakowi i ujdzie w toń wodną, prócz niewielkiej straty materjalnej, nie zagrozi rybakowi żadne inne niebezpieczeństwo. Lecz spuszczony z rohatyny zwierz umie pomścić się za swój ból i krzywdę i wtedy biada myśliwemu, jeżeli nie zdąży ponowić ciosu i to w sposób skuteczny; wtedy przepadł bez ratunku. Myśliwi wiedzą o tem doskonale, że wiszący na oszczepie zwierz ryczy, gryzie i rwie pazurami trzon rohatyny, nie robiąc tego tyle z bólu, ile z chęci dobrania się do skóry przeciwnika, pochwycenia go w pazury, pogruchotania mu kości, roztrzaskania czerepu. Nie pomny w swej wściekłości na ból, całą siłą pcha się na ostrze rohatyny, wbija ją jeszcze głębiej w swe cielsko. Uda mu się wydrzeć z siebie żelazo, lub wytrącić z rąk wroga drzewce oszczepu, przegryźć je lub strzaskać, wtedy pogoni za swym krzywdzicielem, i biada myśliwemu, jeżeli nie nadbiegnie z pomocą jego towarzysz.

Niektórzy twierdzą, że dla zabicia niedźwiedzia wystarczy jedno trafne uderzenie oszczepem. Tylko kula może to zrobić! Aby zabić momentalnie oszczepem, trzeba trafić zwierza w najczulszy jego organ, w samo serce i to poważną w niem zrobić ranę, by agonia momentalnie nastąpiła, lub przeciąć mu gardło, przerwać w niem krwionośne arterje, by potokiem krwi zalać mu nagle płuca i udusić go. Proszę jednak zapytać sławnego chirurga, czy podjąłby się jednem cięciem skalpela przeciąć szyję leżącemu spokojnie na operacyjnym stole, związanemu niedźwiedziowi? Pozwalam sobie wątpić o tem!

(D. c. n.). WŁ. CZERNIEJEWSKI.

W OBRONIE WYŻŁA NIEMIECKIEGO.

Między nami mówiąc, sympatje moje były zawsze po stronie pointerów, setterów i cockerów, co nie przeszkadza, że muszę w obronie wyżła niemieckiego i jego tresury parę słów powiedzieć.

Od dłuższego czasu z uwagą śledzę w tem piśmie polemikę skierowaną przeciwko wyżłowi niemieckiemu. W znacznej części krytyka jest nawet zupełnie fachowa, ale może zanadto generalizująca. Mimowoli nasuwa się jednak czasem podejrzenie, że krytycy prawdopodobnie prawdziwego wyżła niemieckiego, takiego, jakim być powinien, nie widzieli, a mieli tylko z jakimś „ersatzem" do czynienia.

W tem miejscu wyczytałem kiedyś zdanie, że w dziedzinie kynologji jesteśmy kompletnymi analfabetami. Wyrok ten wydaje mi się zbyt surowym, ale dyletantami jesteśmy napewno, w tej jak i w wielu innych dziedzinach.

Aby należycie osądzić zalety i wady psów niemieckich w porównaniu do angielskich, trzeba przedewszystkiem poznać ich historję naturalną, względnie powstanie tych ras.

Niektóre rękopisy angielskie z trzynastego wieku zawierają już różne wzmianki, ale i dłuższe rozprawy na temat polowania i psów do niego używanych. Otóż do polowania na ptactwo z sokołem używany był „spaniel", do polowania z siatką (włokiem) „spanish pointer". Pierwotnie sprowadzano te psy z Hiszpanji, później hodowano je w kraju i to z całą znaną angielską pedanterją i systematycznością.

Ze spaniela powstał z czasem „setting spaniel", względnie „setter". Obok tego został dla specjalnych celów i spaniel w różnych odmianach. Z rozpowszechnieniem broni palnej, zaczęto używać spanieli, później i psów innych ras, do aportowania.

Od 600 lat z górą mają te rasy jedno tylko zadanie: znaleźć (nosem) i wystawić zwierzynę. Sześćset lat rozwijają się one i wydoskonalają w tym jednym kierunku. Czyż można się dziwić, że dzikim — ich zdaniem — pretensjom niemieckich treserów przeciwstawiają pasywny opór.

Niemiecka literatura łowiecka sięga trochę mniej daleko w przeszłość, tu najstarsze źródła pochodzą z piętnastego stulecia. Do ciekawszych należy cykl 400 sztychów Ridingera, ilustrujących ówczesne metody polowania, rodzaje zwierzyny i psów do polowania używanych. Przy każdym sztychu jest odpowiednia legenda. Ridinger wspomina między innemi hiszpańskie pieski kudłate, używane do wypłaszania zwierzyny. Od nich przypuszczalnie pochodzą Deutsch-Langhaar, Münsterländer i Wachtelhund, rasy posiadające dziś przeważnie lokalne znaczenie.

W Niemczech strzelanie śrutem do ptactwa prawie że do końca 18-go stulecia nie należało do zabaw rycerskich. Ten rodzaj polowania uprawiany był przeważnie przez personel dla zaopatrzenia kuchni dworskiej. Do wystawiania i aportowania przyuczano wybrane z pośród meuty ogarów (gończych) psy odznaczające się najlepszym nosem i wyższą inteligencją. Dla odróżnienia ich od reszty, obcinano im koniec ogona. To jest początek niemieckiego wyżła.

Ogary bywały gładkie, albo szorstkowłose, stąd i wyżły są gładkie (Deutsch-Kurzhaar, „DK"), albo szorstkowłose (Deutsch-Stichelhaar „D. St"). Ilościowy stosunek tych dwuch ras jest mniejwięcej: 5:2, a może 3:1.

Wiadomo, że hodowcy, czy roślin, czy zwierząt, mają często chorobliwą pasję tworzenia nowych gatunków. Z takiej aberacji powstały przed laty 25—30 „Deutsch-Drahthaar" i „Pudelpointer". (Griffony są francuską rasą, a nie niemiecką). Do wybuchu wojny miarodajny „Klub Kurzhaar", zarówno jak austrjacki „St. Hubertus" nie uznawały tych ras i nie dopuszczały ich do prób polowych. Jak to dzisiaj jest, nie wiem dokładnie, w każdym razie są to „quantités négligeables".

Z biegiem czasu próbowano podobno nieraz domieszką krwi angielskiej podnieść zalety Kurzhaara. W zewnętrznym wyglądzie trudno dojrzeć skutków tej domieszki. Czy nos na tem skorzystał, nie wiem. Fakt jest, że w tym kierunku wyżeł niemiecki w ostatnich 20-tu latach przed wojną ogromne zrobił postępy, sądzę jednak, że to raczej racjonalniejszej selekcyjnej hodowli i rozumniejszej tresurze przypi-

sać należy. W tym bowiem właśnie okresie czasu, koła miarodajne mocno agitowały przeciw wszelkim domieszkom obcej krwi, twierdząc słusznie, że takie domieszki, mogą na kilka pokoleń zepsuć jednolitość rasy, zaś korzyści spodziewane najczęściej są bardzo problematyczne.

Typ dzisiejszy wyżła niemieckiego jest znacznie lżejszy od dawniejszego, mimo to jednak w całej budowie znacznie się różni od pointera. W szczególności forma głowy, uszu i nosa, są tak odmienne, że nawet laikowi to w oczy wpaść musi. Jako maść faworyzowane jest od lat conajmniej 30-tu tło białe gęsto cętkowane (hreczkowate) z dużemi plamami bronzowemi, jak u pointerów, z tą jednak różnicą, że maść bronzowa kurzhaarów jest matowo-czekoladowa, pointerów wiśniowo-lśniąca i hreczka u pointerów powinna być bardzo dyskretna, ledwo dostrzegalna. N. B. jest to historyczna maść spanish-pointerów. Dla specjalnych amatorów hoduje się także jednobarwne kurzhaary bronzowe zlekka siwizną napruszone.

Tak jak rasy innych zwierząt domowych i te dwie rasy rozwijały się w kierunku potrzeb ludzkich i lokalnych i to w przeciągu stuleci. Angielski myśliwy-rekordzista potrzebuje w najkrótszym czasie jaknajwięcej razy wystrzelić i ewentualnie zabić. Ma wszelkie dane po temu, bo i tereny wielkie, gęsto zaludnione kuropatwami, grousami i dzikimi indykami, no i walutę, która mu pozwala na różne ekstrawagancje. Więc potrzebuje psów (2 — 3), które mu raz po raz wystawiają do strzału zwierzynę, tak, żeby tylko potrzebował zmieniać strzelbę i strzelać. Reszta go nic nie obchodzi, to już rzecz „game-keeperów". Ci prowadzą kennel, tresują pointery do wystawiania, a retrivery różnych ras do aportowania; ich rzeczą jest, nie przeszkadzając panu w strzelaniu, zbierać zwierzynę zabitą etc.

Całkiem inaczej ma się rzecz w Niemczech. I tam bywają magnaci polujący po angielsku, ale tych jest coraz mniej. Znaczna większość, conajmniej 90%, myśliwych niemieckich rekrutuje się ze sfer średnio i mało zamożnych, inteligencji, urzędników, wojskowych, kupców i w znacznej bardzo części z „Berufsjaeger", zawodowych myśliwych, czyli personelu leśnego państwowego i prywatnego, posiadającego przeważnie wyższe wykształcenie, i trzeba objektywnie stwierdzić, że właśnie w tych kołach bardzo rozpowszechniona jest prawdziwa łowiecka ideowość. Niema prawie miasteczka, któreby, obok spółek myśliwskich, nie posiadało swego „Towarzystwa łowieckiego". Łowiectwo jest u nich „kultem", a nie sportem i żaden naród nie posiada tak dobitnie pogardliwego wyrażenia dla napiętnowania rekordomanji w myślistwie, jak ich „Aasjaegerei" i „Aasjaeger". — Aas znaczy padlina, vel ścierwo.— Ale niema reguły bez wyjątku, więc i u nich bywają „Aasjaegery".

Ten ekskursik był potrzebny dla lepszego zrozumienia stosunku myśliwego do psa.

Przeciętny niemiecki myśliwy ma teren stosunkowo niewielki, a wskutek wysokiego poziomu rolnictwa bardzo urozmaicony, stan zwierzyny dzięki jego umiejętnym zabiegom dobry, ale nie tak, jak w Anglji, za to rozmaity, bo od jelenia do kuropatwy, są przytem i lisy i inne drobne drapieżce. Stan finansowy nie pozwala mu obok i tak już drogiego polowania, utrzymywać jeszcze wielkiej zbrojowni i psiarni, zadawala się więc najczęściej jednym drillingiem i jednym psem, ale ten musi być równie wszechstronnym („Gebrauchshund") i jak i drilling. Gdzie dużo lisów, tam ewentualnie jeszcze będzie jamnik, bo tego, to już wyżeł mimo całej wszechstronności, nie zastąpi.

Jakież są zatem obowiązki wyżła? Po pierwsze jest nierozłącznym towarzyszem swego pana i w potrzebie jego obrońcą. W domu jest przyjacielem, prawie że członkiem rodziny. W polu jest legawcem i aporterem, toż samo na błotach i wodzie, w gąszczach i krzakach musi udawać gończego „Stöberhund" i to o ile możności z własnej inicjatywy, jeżeli straci bezpośredni kontakt z myśliwym. Wreszcie w polowaniu na kozła i jelenia musi zastąpić farbowca (Schweisshund), czyli jednem słowem, ten pies musiałby być genjuszem jakimś, a nie psem. To też najczęściej — zależnie od wrodzonych talentów, tresury i prowadzenia w polu — wyżeł w jednym i drugim fachu będzie odpowiadał, w innych nie.

Regulamin prób polowych musi naturalnie wszystkie powyższe wymogi uwzględnić. Że „nos" pod względem punktów po macoszemu jest traktowany, tłómaczą autorzy tem, iż w stylu szukania, wystawiania, aportowania etc., nos i tak właściwie klasyfikację rozstrzyga, a co najmniej w wysokim stopniu na nią wpływa.

Fakt jest, że wyżły niemieckie, ściągające „górnym wiatrem" na wielką odległość, do kuropatw, bynajmniej nie są rzadkością. Że takie psy w kraju zostają, nie dziw, wobec ogromnego zapotrzebowania z jednej i nadzwyczajnej organizacji i współpracy klubów hodowlanych i myśliwskich z drugiej strony.

Nie da się również zaprzeczyć, że zbyt intensywna tresura na tropie i farbie, może odzwyczaić zupełnie psa od szukania górnym wiatrem, ale znowuż właśnie praca na tropie, jest wielką ponętą dla treserów, bo daje im możność „pokazania się" i święcenia tryumfów przed mniej wtajemniczoną publicznością. Trzeba z innej strony przyznać, że rzeczywiście praca z dobrym psem na tropie i farbie, umiejętnie prowadzona — pomijając etyczną potrzebę tejże — może być źródłem prawdziwych rozkoszy dla myśliwego. Miałem przed laty sposobność zakosztować tych rozkoszy, polując z „wielkim mistrzem" łowiectwa austro-niemieckiego, ś. p. hr. Münster'em, zarówno w wysoce kulturalnych, pięknie kratkowanych lasach pod samym Wiedniem, jak i w dzikich karpackich borach na granicy Bukowiny i Siedmiogrodu. Hr. Münster hodował wyłącznie „Gordony" i sam je układał. Był on również mistrzem w wabieniu jeleni. W ostatnich latach swego życia polował wyłącznie na jelenie i opisywał te polowania w „Wild und Hund". Opisy te wyszły w roku 1919 w osobnym przedruku.

Przyznaję, że tresura wyżła na tropie jest obosiecznym mieczem, zarówno w rękach tresera, jak i myśliwego. Nic łatwiejszego bowiem, jak psa zmarnować. Przyznaję również, że w Białowieży i w innych puszczach litewskich i białoruskich byłoby karygodną lekkomyślnością puścić psa samopas po tropie pierwszego lepszego postrzałka. Ale puszczenie psa samopas, wogóle nie leży w programie. Na farbie „prowadzi się" psa, a dopiero, gdy są wszelkie dane po temu, że zwierz jest ciężko ranny i może być osiągnięty i osadzony, wtedy dopiero puszcza się go.

Niemiecki myśliwy potrzebuje wyżła, mogącego być użytym do tropienia, i dobrze mu z tem. Kto nie potrzebuje, może tych właściwości wyżła nie wykorzystywać, oceniać je jednak, jako wady, uważam za niestosowne, przeciwnie, sądzę, że każdy rodzaj tresury, odpowiednio zastosowany, przyczynia się do podniesienia inteligencji psa.

I jeszcze coś: najwspanialsza broń myśliwska jest w rękach nie-strzelca tylko arcyniebezpiecznem narzędziem, więcej nic. — Sapienti sat.

Z tak zwanej „ciętości", robi się także wadę zasadniczą wyżłów niemieckich. Jest to nieporozumienie. Ciętość w programie tresury nie jest celem, tylko środkiem. Pies, który w cudzem mieszkaniu an-

gorską kotkę dusi, jest poprostu niewychowanym, nietresowanym dzikusem. Samo wtargnięcie psa do cudzego mieszkania jest smutnym objawem zdziczenia ze strony psa, a braku pojęcia o obchodzeniu się z psami ze strony pana. Pies dobrze wychowany, nigdy sam nie opuści swego domu, względnie swojej zagrody i nigdy bez rozkazu nie rzuci się na kota, albo inne stworzenie. Tak zwana cietość jest tylko środkiem do wyrobienia odwagi. W braku innych objektów, używa się w tym celu kotków, ale dobry treser będzie zawsze pilnował, żeby pies nigdy bez rozkazu kota nie brał, względnie będzie go dziesięć razy odwoływał, nim mu pozwoli kota wziąć. Taki pies nie nastraszy się i nie ucieknie, a w następstwie nie odmówi aportowania, jeżeli kiedyś dostanie do nosie od niezupełnie martwego lisa lub kuny, które mu każą aportować. Jednem słowem, cietość powinna się objawiać wyłącznie na rozkaz myśliwego i w rozmiarach przez niego wymaganych, ale nigdy z własnej inicjatywy i na niewłaściwem miejscu.

Cietość w obronie pana przekracza, mojem zdaniem program tresury psów myśliwskich. Jestem przekonany, że każdy pies przywiązany do swego pana stanie w potrzebie, w jego obronie, a tak mądry pies jak wyżeł potrafi też rozróżnić, czy kto w wrogim, czy przyjaznym zamiarze się zbliża. Tresura „auf den Mann" prowadzi do tego, że pies każdego, który jego panu chce na powitanie rękę podać, za tę rękę chwyta i kaleczy. Ta tresura uprawiana przez wiele pokoleń, mojem zdaniem głównie przyczyniła się do zdziczenia t. zw. „wilków", czyli niemieckich psów owczarskich.

W Niemczech, niestety, zawsze jeszcze bardzo rozpowszechniona jest metoda tresury Oberlaendera, podczas gdy Hegendorf, mimo z górą dwudziestoletniej działalności dopiero ostatnimi czasy zaczął zdobywać uznanie szerszych kół. Różnica tych dwóch metod jest zasadnicza.

Oberlaender wychodzi z zasady, że wyżeł niemiecki powoli się rozwija i późno dojrzewa. Tresowanie niedorosłego psa wstrzymuje jego rozwój fizyczny, jest szkodliwe dla zdrowia i może się przyczynić do degeneracji rasy. Kluby hodowlane tak się temi zasadami przejęły, że w statucie „Zuchtbuchu" postawiły zasadę niewpisywania psów przed ukończonym 1-szym rokiem. (Obok rodowodu, żąda się bowiem opinji rzeczoznawcy, co do zewnętrznego wyglądu, t. zw. „Begutachtung"). Skutki tej zasady są, że pies do końca 1-go roku dziczeje, nabiera najrozmaitszych przywyczek, bywa nieodpowiednio karmiony i źle traktowany, a ostatecznie rzeczywiście, nie rozwija się jak należy, jest skłonny do chorób, rzadko kiedy uchroni się przed nosacizną i jeżeli z niej się wyliże, to mu jakaś pamiątka po niej zostanie. Tresura takiej dzikiej bestji jest naturalnie kwestją fizyczno - mechaniczną: Korale, kij „Strafschuss", to jedyne argumenta tej metody.

Hegendorf natomiast — jak się zdaje, oparty na doświadczeniach z rasami angielskiemi — traktuje psa, jako istotę inteligentną i każe go wychowywać jak dziecko, a nie tresować. Głównymi argumentami jego są: głos, do którego szczeniak zaraz po odłączeniu od matki, musi się przyzwyczajać, nagroda w postaci pogłaskania, pochwały, przysmaczka, w ostatecznym razie klapsik, ale zawsze połączony z ustną naganą, która później i bez klapsa swój skutek wywiera. Do końca 6-go miesiąca całe wychowanie obraca się jednak w ciasnem kółku i ma na celu rozwój inteligencji, przyzwyczajanie do mowy ludzkiej, które dochodzi do zrozumienia każdego prawie słowa i wyrobienia bezwzględnego posłuszeństwa. Ćwiczenia fizyczne, jak skakanie, aportowanie drobnych przedmiotów etc., nie powinny doprowadzać do zmęczenia. Również wielką rolę odgrywa odkarmianie racjonalne — mięso w małych ilościach, kości — które przyśpiesza rozwój fizyczny i chroni od chorób, a szczególnie od nosacizny. Dla tresera ten system jest może uciążliwszym, wymaga bowiem bezustannego zajmowania się pupilem i dostosowania własnej inteligencji do jego rozumu, ale rezultaty osiągnięte będą mu sowitą nagrodą.

Nie mogę nie wspomnieć tu jeszcze jednego dziełka, które wprawdzie z wyżłem nic ma nic wspólnego, ale w dziedzinie wychowania opartego na logice i psychologji, może jeszcze wyżej stoi od Hegendorfa; jest to książeczka „Der Jagdspaniel" wydanie uzupełnione i poprawione przez Dr. C. v. Muralt.

Jak już w innem miejscu wspomniałem, zalety i wady charakteru, nabyte w ciągu życia, stają się poniekąd drugą naturą i częściej, niż uczeni przyznają, przechodzą drogą dziedziczną na potomstwo. Dlatego wyżeł niemiecki — wszystko jedno, czy Kurz- czy Stichelhaar- z urodzenia, podatniejszym jest do niemieckiej wszechstronnej tresury, niż każda inna rasa. Co bynajmniej nie przeszkadza, że i inne rasy, a nawet inne zwierzęta, można do tego nałamać. Pamiętam z czasów mych dziecinnych lisa, wykarmionego przez jamniczkę razem ze szczeniętami, którego właściciel, mój wuj, nauczył wystawiać i aportować przepiórki i kuropatwy. Ale do czasu dzban wodę nosi. Kiedy pewnego razu miał aportować całkiem rozerwaną strzałem kuropatwę, natura przemogła i lis zjadł kuropatwę, i żadne kije już nie pomogły, od tego czasu jadł nietylko wszelką strzelaną zwierzynę, ale wróciwszy do domu, dobrał się do kurnika — i tu go los sromotny spotkał.

Wielką zaletą wyżła niemieckiego jest jego spokojny temperament. W małych i średnich rewirach jest to dla myśliwego bardzo ważna zaleta, a w okolicach pagórkowatych i górskich taki pies daleko mniej się męczy.

Wreszcie nabycie dobrego wyżła niemieckiego jest ułatwione, dzięki dobrej organizacji, panującej pod tym względem w Niemczech, i cena jego jest dostępniejszą, niż ceny psów angielskich.

Pointery i setery dają się naturalnie także metodą niemiecką tresować, szczególnie, jeżeli po rodzicach już nieco skłonności ku temu odziedziczyły. W Niemczech, szczególnie południowych, hodowla pointerów i seterów od lat conajmniej 30-tu stoi na bardzo wysokim poziomie, odświeżana racjonalnie importami. Byłem sam świadkiem, jak sędzia anglik na wystawie międzynarodowej w Belgji premiował pointery i setery i pierwsze nagrody przyznał psom, urodzonym w Niemczech, przed psami angielskich wystawców.

Hodowcy niemcy tresują naturalnie pointery i setery metodą niemiecką i dochodzą do nadzwyczajnych rezultatów. Wobec bezwzględnie lepszego nosa, taki pies może być wprost fenomenem. Cała trudność jest w wynalezieniu go — no i cena bywa fenomenalną.

Stosunek zdatności do tresury jest odwrotnym do temperamentu. Najłatwiej tresują się — i to inclusive tropienie — „gordony", następnie irlandzkie, potem angielskie setery, a wreszcie pointery. Setery aportują z natury, odziedziczyły one tę żyłkę po swoich praojcach spanielach. Pointera trzeba od maleństwa do tego przyzwyczajać. Do wody pointery też mniej chętnie idą i trzeba je bardzo ostrożnie i stopniowo do tego przyzwyczajać, nic bowiem łatwiejszego, jak psa z takim temperamentem, jak pointer, zrazić do jakiejś pracy. Najtrudniej to nauczyć pointera na tropie i farbie pracować — zresztą, mojem zdaniem, zupełnie zbyteczne.

Najwięcej wypadków niezadowolenia i rozczarowania pochodzi z nieumiejętności kupowania. Pies, to nie jest jakiś przybór myśliwski, czy siatka od komarów, którą się za pobraniem pocztowem

według katalogu ilustrowanego sprowadza. — Pewien autor z dziedziny łowieckiej twierdzi, że dobra broń myśliwska, to tak, jak narzeczona, trzeba ją gruntownie pod różnymi kątami widzenia zbadać, nim się... wdepnie. — Otóż, jabym powiedział, że pies, to tak, jak dobra broń myśliwska i t. d., i t. d.

Nabycie psa jest umiejętnością samo w sobie i powinno być dobrze rozmyślane, a nigdy improwizowane. Najpierw należy jasno postawić kwestję: dla jakich celów i dla jakiego użytku się psa nabywa. Od tego zależy przedewszystkiem wybór rasy i wybór stopnia tresury. Szczeniaki kupować radziłbym tylko tym, którzy się bardzo dobrze na tem znają i mają praktykę w wychowywaniu i tresowaniu psów. Dla hodowli kupować należy tylko psy gruntownie wypróbowane pod względem myśliwskim. W każdym bądź razie, należy zawsze pamiętać, że pies nie tylko ma własną indywidualność, ale jest sumą indywidualności swoich przodków. To znaczy, że należy studjować jego rodowód i to nie tylko dla sprawdzenia, ile generacyj jest wpisanych w księdze rodowodów, ale należałoby także zbadać, jakie próby polowe i z jakim rezultatem, jego przodkowie przechodzili. Na to właśnie są księgi rodowodowe. Wystrzegać się jednak jak ognia wszystkich głośno reklamujących się „Hundezucht-Anstalten", czyli zakładów hodowli psów. O praktykach takich panów mógłbym tomy napisać!

Gdzie, jak w Niemczech myślistwo i hodowla psów są dobrze zorganizowane i mają do pomocy czasopisma takiego znaczenia, jak „Wild und Hund", „Deutsche Jaegerzeitung" i „Der Deutsche Jaeger", tam nabycie psa jest ogromnie ułatwione.

W Niemczech każdy myśliwy i każdy hodowca jest członkiem jakiegoś klubu i abonuje, albo otrzymuje bezpłatnie jako organ klubowy, jedno z wyżej wymienionych czasopism, a tem samem jest zawsze „au courant" tego, co się dzieje na polu hodowli, i z łatwością może zawsze wiedzieć, gdzie chwilowo najlepsze psy się znajdują etc. Wewnątrz klubów nabywanie i wymiana piesków odbywa się zwykle pod egidą zarządu, względnie referatu dla spraw kupna i sprzedaży. Pozatem nabycie psa odbywa się w następujący sposób: Ogłasza się w jednem z wymienionych czasopism, że poszukuje się takiego i takiego psa. Po kilku dniach otrzymuje się pewną ilość ofert z podaniem rodowodu i fotografją. Wybór kandydata. Zapytanie w klubie hodowlanym, czy daty, podane przez oferenta, zgadzają się. Równocześnie oświadczenie oferentowi gotowości kupna psa, o ile klub z jednej strony i 2 — 3 tygodniowa próba psa, z drugiej strony, wszystkie przez niego podane daty potwierdzą, i złożenie ceny kupna w redakcji czasopisma, które ogłoszenie przyjęło, z tem, że suma ta po odbytej próbie, na zlecenie kupującego zostanie przekazana sprzedawcy, względnie, wrazie niedojścia do skutku tranzakcji, wróci z powrotem. W ten sposób sprzedawca znajduje się pod podwójną kontrolą i w razie popełnienia jakiegoś machlejstwa, grozi mu bezwzględne napiętnowanie w odpowiednim czasopiśmie i wylanie z klubu. W ostatnich czasach miałem właśnie sposobność przekonania się, że ten aparat funkcjonuje bez skazy i sprokurowałem w ten sposób pewnemu znajomemu, po kilku nieudanych próbach z jego strony, wspaniałego pointera.

Mojem zdaniem, byłoby najpierwszem realnem zadaniem naszego młodego **„Towarzystwa Hodowli Psów Myśliwskich"**, zająć się dla swoich członków importem pierwszorzędnych psów myśliwskich różnych ras, jako materjału hodowlanego. Bo, mówmy otwarcie, materjału hodowlanego w ścisłem znaczeniu, w kraju prawie że nie mamy. Ten materjał byłby równocześnie podstawą księgi rodowodów. W tym celu, należałoby wejść w stałe porozumienie z głównymi zagranicznymi klubami hodowlanymi, prowadzącymi księgi rodowodowe, nabyć od nich conajmniej trzy ostatnie roczniki i zapewnić sobie przysyłanie corocznie nowych wydań (skoro nasza księga rodowodów będzie w porządku, można zaproponować wymianę), i wreszcie abonować stale czasopisma fachowe, jak „Eleveur", „Chien et Chasse", „Illustr. Kennel News", a szczególnie „Wild und Hund", „Deutsche Jaegerzeitung", „Der Deutsche Jaeger" (München) i „Sportblatt für Hundezuechter" (Frankfurt a.M.). Wreszcie trzeba stale conajmniej trzy stronice naszego oficjalnego organu „Ł. P." zapełnić wiadomościami i artykułami kynologicznymi. Uważam, że chwilowo, jedynym rynkiem zakupów — i to także dla ras angielskich — powinnyby być Niemcy, a to dlatego, że tam mamy znacznie ułatwioną kontrolę i możemy mieć materjał wypróbowany. Z Anglji można będzie sprowadzać później psy dla odświeżenia krwi, skoro będziemy mieli już wyrobiony własny materjał hodowlany.

Projekt ten bynajmniej nie wyklucza energicznego popierania prywatnej inicjatywy, którą jednak równocześnie trzeba ująć w karby, żeby wszelkie próby dyletantyzmu i improwizacji w zarodku zdusić. Należy pamiętać, że do księgi rodowodów powinny wejść tylko takie psy, których rodowód, zawierający conajmniej trzy pokolenia wstecz, jest legalizowany przez instytucję do tego upoważnioną, czyli klub, prowadzący oficjalny „Studbook", wzgl. „Zuchtbuch". — Psy premjowane na wystawach i popisach, bez względu na ich mniej lub więcej niepewne pochodzenie, mieszczą się w aneksie do Studbooka, czyli rejestrze.

Nie widzę bowiem dobrej racji, dlaczegoby nasza młoda kynologja musiała przebywać choroby dziecinne, przez które przeszły przed laty jej starsze siostry, kynologja niemiecka, austrjacka i angielska. Przez kilkanaście lat szukano tam szczepionki na te choroby dziecinne, ale nareszcie ją znaleziono. Mogę coś o tem mówić, bo współpracowałem w organizacji Austrjackiego Związku Kynologów (Oe. K. V.) z ks. Ypsilanti'm, którego funkcje później objąłem. Ukoronowaniem naszych prac było założenie i definitywne uchwalenie statutu (1914) „Fédération Internationale Cinologique". Niestety, wojna ostatnią tę naszą radość twórczą zniweczyła, jak wiele innych, pięknych rzeczy.

Otóż, mając już szczepionkę przeciw dziecinnym chorobom, w postaci doświadczeń, statutów, Studbooków, naszych bliższych i dalszych sąsiadów, możemy naszą kynologję z miejsca postawić przynajmniej zasadniczo na równy poziom z nimi. Nic nie szkodzi, jeżeli pierwszy rocznik naszego Studbooku będzie zawierał ledwo 100 numerów, ale niech będzie murowany. Niech wiedzą sąsiedzi, że nie jesteśmy żadnem towarzystwem wzajemnej adoracji, ale instytutem realnej i racjonalnej pracy, a wtedy zyskamy uznanie kynologji światowej, jako równowarty współpracownik, i kynologja nasza pomyślnie się rozwijać będzie, w czem nam dopomóż Święty Hubercie!

KALM. PODOSKI.

DO PP. AUTORÓW i KORESPONDENTÓW.

Stosownie do porozumienia się pp. redaktorów redakcja „Łowca Polskiego" prosi uprzejmie, aby PP. Autorowie wszelkie artykuły i korespondencje do druku przesyłali bezpośrednio, pod adresem Redakcji.

SEKRETARJAT REDAKCJI.

PRZEGLĄD PRASY ZAGRANICZNEJ.

CZAS OCHRONNY W GDAŃSKU.

Podług ustanowionych w w. m. Gdańsku terminów ochronnych. dn 31 sierpnia skończył się czas ochronny dla kuropatw, przepiórek i szkockich grousów; dn. 1 września — dla bażantów-kogutów; dn. 15 września — dla cietrzewi i cieciorek. jarząbków — kogutów i kur, oraz dla bażancic.

STATYSTYKA ŁOWIECKA NORWEGJI.

Podług danych urzędowych „Statistike Meddelelser" w Oslo Nr. 4/5, 1928 r., ubito w r. 1927:

W okręgu Ostfald 29 łosi, z czego 13 łosz; w Akershus — 38 (2 łosze); Hedmark — 258 (139); Opland — 144 (59) i 17 reniferów, z czego 6 samic; Buskerud — 170 (81) i 54 ren. (27); Vestfold — 35 (22); Telemark — 121 (55) i 77 r. (30): Aust-Agder — 16 r. (8); Vest-Agder — 18 r. (3): Rogaland — 15 r. (8) i 1 jelenia-byka; Hordaland — 23 r. (15) i jelenia-byka; Song og Fjordane — 40 r. (18) i 9 jeleni (2 łanie); More — 6 r. i 51 jel. (27 łań); Sor-Trondelag — 120 łosi (66), 1 r. i 110 jel. (17); Nord-Trondelag — 230 ł. (97) i 2 jel.

Razem 1.145 łosi (z czego 534 łosz), 267 reniferów (115) i 174 jeleni (46).

W r. 1926: 1165 łosi (497). 389 r. (206), 189 jel. (66).

W r. 1925: 1186 ł. (495), 444 r. (235) i 185 jel. (88).

W r. 1924: 870 ł. (401), 347 r. (172) i 191 jel. (105).

W r. 1923: 732 łos. (299), 494 r. (243) i 197 jel. (74).

W r. 1922: 307 łos. (152), 672 r. (327) i 230 jel. (92).

W r. 1921: 57 łos. (31), 825 r. (366) i 274 jel. (108).

W r. 1920: 193 łos. (90). 963 r. (467) i 240 jel. (79).

W r. 1919: 652 łos. (326), 984 r. (476) i 271 jel. (99).

Przeciętnie od r. 1914 do 1918: 1118 łos. (544). 1377 r. (679) i 300 jel. (133).

Od 1909 do 1913: 1338 łos. (611), 1044 r. (483) i 337 jel. (129).

Od 1904 do 1908 r.: 1255 ł. (564), 1391 r. i 265 jel.

Od 1899 do 1903 r: 839 łos. (377), 552 r. i 237 j.

Od 1894 do 1898 r.: 999 łos. (475), 870 r. i 139 jel.

Od 1889 do 1893 r.: 1123 łos. (513), 591 r. i 145 jel.

Co się tyczy **łosi**, to najwyższe liczby wykazuje okres 1909 do 1913 roku.

Liczby r. 1889 do 1893 są mniej więcej takie same, jak 1914 do 1918. Między tymi okresami mamy nizkie liczby od 1899 do 1903 z drugim co do niższości, okresem 1894 do 1898. Rok 1919, czyli koniec wojny, wskazuje upadek dotkliwy, który jest jeszcze w następnych dwóch latach, a najgorszy w r. 1921. Następne lata przynoszą już przyrost ciągły aż do 1925 r. Lata 1926 i 1927 dają nieznaczny ubytek. Najwyższych liczb przedwojennych od 1909 do 1913 r.. już nie osiągnięto po wojnie, pomimo że Norwegja należała do krajów neutralnych.

Renifery: Najwyższa liczba przypada na lata przedwojenne 1904 do 1908 i na wojenne 1914 do 1918. Po wojnie rozpoczął się szybki upadek aż do r. 1927 z liczbą 267, czyli do połowy tego, co przed wojną.

Jelenie: Najwyższe liczby przypadają na lata 1909 do 1913; drugie z kolei na lata wojenne 1914 do 1918; poczem odbywa się kolejny, stały upadek aż do r. 1927, który wykazuje około połowy ilości przedwojennej.

Cyfry powyższe mówią więcej, niż wszelkie opisy.

J. O.

KREW DO UKŁADANIA PSÓW.

Instytut łowiecki w Berlinie, jak donosi „Deutsche Jaeger — Zeitung" stwierdziwszy wybitne znaczenie tropów zwierzyny przy układaniu psów myśliwskich, przeprowadził odpowiednie badania i wynalazł sposób przechowywania farby zwierzyny przez czas dłuższy. Do tej krwi mianowicie zebranej do butelki zaraz po upolowaniu danej sztuki, dodaje się po łyżce stołowej natrium citricum i kwasu bornego na dużą butelkę. Farba taka nie psuje się wtedy conajmniej przez pół roku, o ile się ją przechowuje w chłodnem miejscu i w szczelnie zamkniętem naczyniu. Mając taką krew, można sporządzić sztuczne tropy zwierzyny w celu wyrabiania u psa wiatru, co ułatwia psu posługiwanie się węchem przy wyszukiwaniu i tropieniu zwierzyny. W ten sposób można też układać psy do polowań tylko na dany jeden gatunek zwierzyny, rozporządzając zapasem krwi dzików, lisów i t. d.

O LOCIE BOCIANÓW.

(Ze spostrzeżeń Obserwatorium w Prusach Wschodnich).

Nie zbadano dotychczas naukowo, jakim sposobem ptaki wędrowne. a pomiędzy nimi bociany, orientują się podczas długiej wędrówki do ciepłych krajów z północy na południe i z powrotem. Jakim sposobem się to dzieje, że instynktem tylko powodujące się stworzenia, nie zbłądzą w swych podróżach. wynoszących kilka tysięcy kilometrów?

W ostatnich czasach usiłowano robić w tym kierunku doświadczenia. które się odbywały w ornitologicznej stacji doświadczalnej w Rossitten, w Prusach Wschodnich. Doświadczenia miały wykazać, że loty wędrowne ptaków odbywają się niezależnie od t. zw. przewódcy ale polegają tylko na przyrodzonym zmyśle, czyli na instynkcie zwierzęcym.

Doświadczenia nie doprowadziły do stanowczego wyniku; przeciwnie stwierdziły tylko, że niektóre rzeczy, dziejące się w przyrodzie. pozostają nadal zagadką dla t. zw. naukowości. Dotychczasowe obserwacje zdawały się dowodzić, że każdy lot wędrowny odbywa się pod przewodnictwem kierownika, wybranego z pomiędzy ptaków silnych i doświadczonych, a lecącego zawsze na przedzie gromady ptasiej. sformowanej przeważnie w trójkąt lub sznur. Wszystko to nie wyjaśnia jednak tajemnicy, owej zawsze a niezachwianie pewnej orjentacji ptaków w tak wielkiej przestrzeni. Czy można się zadowolić tylko złożeniem tego na rzecz i odnowiedzialność przyrodzonego instynktu zwierzęcego? Doświadczenia. czynione z bocianami w pobliżu stacji doświadczalnej w Rossiten, stwierdziły, że lot wędrowny bocianów odbyć się może nawet bez t. zw. doświadczonego przewódcy.

Kierownik stacji tej w Rossitten, p. Thiemann, przedsięwziął doświadczenia w ten sposób, że

schwyciwszy rozmaitymi sposobami podczas lata, 27 młodych bocianów, uwięził je w obszernem miejscu, gdzie miały dostatek żywności, i trzymał tak długo, aż wszystkie bociany z Prus Wschodnich odleciały. Ponieważ uwięzione bociany były bez wyjątku młode, a więc pochodzące z tegorocznego lęgu, przeto kwestja wybrania z pomiędzy gromady doświadczonego przewódcy, na wypadek wypuszczenia bocianów na wolność i przedsięwzięcia przez nie lotu wędrownego, byłaby stanowczo wyłączona.

Już podczas trwania corocznego odlotu bocianów, a nawet na pewien czas przed nim, co przypada na środek sierpnia, okazywały uwięzione a młode bociany, które nigdy wędrówki do cieplic nie odbywały, rodzaj zdenerwowania. Spostrzeżenia te jednak i to dawno przed doświadczeniami p. Thiemanna, robiono już z bocianami lub innymi ptakami wędrownymi, które z różnych powodów, np. złamania lotek w skrzydłach, lub znajdowania się w ogrodach zoologicznych, nie mogły uczestniczyć w odlocie. Tak samo więc i uwięzione pod Rossitten bociany objawiały ten niepokój, zdradzający chęć odlotu, pomimo że nie widziały odlatujących bocianów na swobodzie, a wszelka sposobność porozumienia się z nimi była stanowczo uniemożliwiona. Nerwowość uwięzionych bocianów wzrastała z każdym dniem, do tego stopnia, że zachodziła obawa, żeby ptaki, pomimo przyczepionych do skrzydeł zatrzasków, nie wyrwały się z więzienia i nie próbowały odlotu, coby musiało się skończyć dla nich katastrofą. Skutkiem tego zamknięto je najpierw w klatce.

Właściwe doświadczenie rozpoczęło się z chwilą, kiedy stwierdzono, że w całych Prusach Wschodnich niema już ani jednego bociana.

Wówczas wypuszczono je na zupełną wolność. Z początku nie okazywały bociany zbytecznej chęci do odlotu. Odnędzano je gwałtem. I to nie pomogło; bociany odlatywały tylko do poblizkiego domu pastora i siadały na dachu. Przypisowano to temu, że pora odlotów już minęła, a z nią niepokój, zdenerwowanie.

Tymczasem pewnego rana stwierdzono, że wszystkie bociany (pozostało ich tylko 24 żywych) odleciały. Stacje ornitoologiczne, utrzymujące wzajemne porozumiewanie się stwierdziły, że bociany doleciały do Grecji w okolice Aten, a więc tuż nad morze, gdzie jednego z nich zastrzelono i znaleziono przy nim przytwierdzoną do nogi obrączkę blaszaną z napisem, poczem poznano, że pochodzi ze stacji w Rossitten. Co do 23 pozostałych bocianów nie stwierdzono dotąd, czy i kiedy odleciały dalej na południe w kierunku Afryki. Byłby to więc pierwszy ich lot przez morze.

Stwierdzono jednak, że odlot na tak daleką przestrzeń, jak z Prus Wschodnich do Grecji, nastąpił bez doświadczonego i znającego drogę przewodnika, bo takiego wśród wylęgniętych tego lata bocianów być nie mogło; że więc prowadził je ku cieplicom sam tylko instynkt zwierzęcy, odczuwający nawet drogę i kierunek przedtem dla nich nieznany.

Różnica polegała tylko na tem, że młode boćki skierowały się na Grecję, która nigdy nie jest etapem dla tych ptaków, i że leciały do tego kraju tyle czasu, ile bociany, kierowane przez starsze, zużywają na przelot do Egiptu.

Przy sposobności zaznaczamy, że wbrew utartemu poglądowi nie bociany są zwiastunami wiosny, lecz szpaki, które zjawiają się już wtedy, gdy ostatni śnieg topnieć zaczyna. Zjawiają się całemi stadami, siadając gromadnie na wzgórkach, pozbawionych już śniegu, i szukając dla siebie żeru.



Mańkiewicze dnia 27 sierpnia 1928 r.

Do Szanownej Redakcji „Łowca Polskiego".

W „Łowcu Polskim" z dnia 25 sierpnia r. b. jest notatka, w której między innemi powiedziano, iż ks. Karol Radziwiłł obiecał podarować łosie do Ogrodu Zoologicznego w Warszawie, jak tylko będą dla nich odpowiednie pomieszczenia. Faktycznie obiecałem dać łosie do Ogrodu Zoologicznego, lecz dopiero za lat kilka, a to z powodu stosunkowo małego ich stanu w mych lasach, a przy łapaniu młodych, łosie bardzo się rozpędza, i boję się, aby one nie wyszły z moich lasów. Za lat kilka, gdy stan się podniesie do jakiejś setki, z przyjemnością ten dar zrobię dla Ogrodu Zoologicznego.

Z poważaniem
KAROL RADZIWIŁŁ.

W SPRAWIE PAWILONU ŁOWIECTWA NA POWSZECHNEJ WYSTAWIE KRAJOWEJ W POZNANIU.

Z Wołyńskiego T-wa Łowieckiego otrzymaliśmy list, zawierający ciekawą propozycję w związku z organizowanym obecnie działem Łowiectwa na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu w 1929 r. List ten zamieszczamy poniżej:

Szanowny Panie Redaktorze!

Chciałbym za pośrednictwem poczytnego pisma Pańskiego zwrócić się do Kolegów Myśliwych z następującym projektem, który proszę, aby rozważyli i ew. przedyskutowali na łamach „Łowca Polskiego".

W celu urozmaicenia wystawy łowieckiej, przygotowanej na 1929 r. w związku z Powszechną Wystawą Krajową w Poznaniu, proponuję, aby poza eksponatami, jakie zwykle w takich wypadkach są gromadzone, z własnymi eksponatami wystąpiły poszczególne towarzystwa łowieckie, zamawiając w tym celu w pawilonie łowieckim osobne stoiska, płacąc za nie i eksponując tu, pod szyldem towarzystwa: trofea, zdobyte na terenach towarzystwa, ciekawe fotografje i inne pamiątki, mapy terenów, modele domków myśliwskich i gajówek, statuty, regulaminy, statystyki rozwoju towarzystwa, polowań i t. d.

Sądzę, że tego rodzaju wystawa stanowiłaby nowość i tem samem wzbudziłaby zainteresowanie. Pozatem udział w Wystawie, połączony z ubieganiem się o nagrodę, którą Dyrekcja Powszechnej Wystawy Krajowej niewątpliwie chętnie zgodzi się wyznaczyć, może okazać się bodźcem do rozwoju samych towarzystw łowieckich.

Prosiłbym wkońcu o podanie do wiadomości Kolegów Myśliwych, że tych, których myśl moja zainteresuje, proszę o łaskawe skomunikowanie się ze mną (Warszawa, Raszyńska 52, Tel. 412-13) celem podjęcia wspólnej akcji.

Z poważaniem
WŁ. GIEYSZTOR
Wołyńskie Towarzystwo Łowieckie.

27 sierpnia 1928 r.



JESIENNE PRÓBY POLOWE WYŻŁÓW.

Tow. Hodowli Psów Myśliwskich zwyczajem dorocznym urządza próby w dn. 15 września r. b. na polach Dóbr Wilanowskich, według regulaminu Towarzystwa. (Regulamin ten został ogłoszony w Nr. Nr. 16 i 17 „Łowca Polskiego" roku bieżącego).

Na sędziów zostali zaproszeni pp. A. Stolarow, W. Horodecki i M. Bielawski, na zastępcę p. A Obniski.

Nagrody będą udzielane w postaci dyplomów T-wa I, II i III stopnia, jak również zostały zadeklarowane przez: Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich w sumie zł. 300, Prezesa T-wa Hodowli Psów Myśliwskich p. O. Saengera i innych.

Jak podano w poprzednim Nr. „Łowca Polskiego", zainteresowani zechcą zgłaszać swoje psy na blankietach, które otrzymać można u sekretarza T-wa, p. St. Czerskiego w Warszawie ul. Królewska 31 (skład broni tel. 38-03), który również udziela wszelkich informacyj związanych z próbami polowemi.

Wyjazd z Warszawy dnia 15 września r. b. pierwszym pociągiem kolejki Wilanowskiej do Wilanowa, o godz. 6.23 rano.

Początek prób polowych punktualnie o godzinie 8-ej rano.

Z WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH.

W sobotę dnia 25 sierpnia b. r. odbył się w majętności Iwno, własność p. hr. Ignacego Mielżyńskiego, Premjowy Konkurs Wyżłów Dowodnych, urządzony przez Wielkopolski Związek Myśliwych.

Otwarcie konkursu zagaił prezes Wielkopolskiego Związku Myśliwych, ppłk. rez. Konstanty Chłapowski, witając obecnych, przyczem podkreślił ważność dla łowiectwa — hodowli i tresury psów myśliwskich, która w czasach powojennych zupełnie zanikła, i przytoczył jako dowód tego fakt, że na rozpisany konkurs przez Wielkopolski Związek Myśliwych w roku ubiegłym zgłoszonych zostało tylko 3 kandydatów.

Zgłoszonych do konkursu zostało 11 kandydatów, z których stawiło się 10-u. Egzamin odbył się z pracy za farbą, pracy leśnej, ciętości, pracy polnej i pracy wodnej. Bardzo suche powietrze i upał utrudniały kandydatom stającym do konkursu, w wysokiej mierze pracę. Około południa odbyło się wspólne śniadanie pod gołem niebem, na którem prezes Związku powitał delegata Ministerstwa Rolnictwa p. radcę ministerjalnego Juljana Ejsmonda i radcę wojewódzkiego p. Radońskiego, podkreślając słuszne zainteresowanie się władz, a mianowicie Ministerstwa Rolnictwa, które na cele nagród przeznaczyło 2 medale. Po śniadaniu przystąpiono do egzaminu z pracy polnej i wodnej, poczem o godz. 7.30 po odbytem posiedzeniu Komisji Sędziowskiej, w której skład weszli: generał Raszewski, radca ministerjalny Juljan Ejsmond, radca Radoński, generał Unrug, ppłk. rez. Konstanty Chłapowski, Franciszek Unrug, nadleśniczy Zaleski, nadleśniczy Metzig, ordynat Taczanowski, Górski, Gozimirski i por. rez. Kostro, przewodniczący p. generał Raszewski podał wynik z odbytego egzaminu:

I nagrodę: wielki medal srebrny Ministerstwa Rolnictwa i 300 zł. otrzymał p. leśn. państw. Walenty Przybyła, właściciel hodowli wyżłów dowodnych „Z Wielkopolskiej Kniei" za wyżła „Reja". Ilość uzyskanych punktów 168.

II nagrodę: wielki medal bronzowy Ministerstwa Rolnictwa i 500 zł. uzyskał leśn. państw. Alfons Gramowski za wyżła „Unkasa" z Bukowej Góry. Ilość uzyskanych punktów 160.

III nagrodę: 100 zł. uzyskał p. Ignacy Jasiński ze Strzelna, właściciel hodowli wyżłów dowodnych „Z nad Gopła", za wyżlicę „Hertę". Ilość uzyskanych punktów 146.

Listy pochwalne przyznała Komisja Sędziowska p. leśn. Brunonowi Gramowskiemu za wyżła „Muma" z Bukowej Góry. Ilość uzyskanych punktów 108, i p. Marjanowi Studzikowi z Poznania za wyżlicę „Biankę". Ilość uzyskanych punktów 106.

Następnie prezes Wielkopolskiego Związku Myśliwych wyrażając raz jeszcze podziękowanie Komisji Sędziowskiej konkursu oraz p. radcy Juljanowi Ejsmondowi za udział w tejże, p. hr. Ignacemu Mielżyńskiemu za stawienie do dyspozycji terenu, ludzi i podwód oraz p. por. rez. Kostro, sekretarzowi Związku, i p. nadleśn. Piszczyglowie za prace około przygotowania terenu do konkursu, zakończył pierwszy na większą skalę odbyty w odrodzonej Polsce Premjowy Konkurs Wyżłów Dowodnych.

Po zakończeniu odbył się w gościnnym domu p. hr. Mielżyńskich obiad dla Komisji Sędziowskiej oraz zaproszonych gości, w którym, niestety, p. hr. Mielżyński z powodu choroby udziału wziąć nie mógł. Wśród licznych toastów głęboko zaryły się w pamięci słowa delegata Ministerstwa Rolnictwa, pana radcy Ejsmonda, który Wielkopolskę nazwał mózgiem i sercem łowiectwa polskiego.

Za Zarząd

Sekretarz (—) KOSTRO

Prezes (—) CHŁAPOWSKI

Ograniczając się w niniejszym numerze do podania oficjalnego komunikatu Wielkopol. Związku Myśliwych, Redakcja nasza pomieści w następnym numerze szczegółowe sprawozdanie wraz ze zdjęciami fotograficznemi.

(Przyp. Red.)

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

Przed Wystawą Powszechną.

Na ostatniem posiedzeniu Wydziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego postanowiono zachęcać myśliwych z Małopolski do wzięcia udziału w dziale łowieckim Powszechnej Wystawy Krajowej, która odbędzie się w Poznaniu w roku 1929, oraz do zgłaszania w biurze tego Towarzystwa, mających się wysłać eksponatów, a w szczególności tych, które były premjowane na Wystawie Sportowej we Lwowie w roku 1927-ym.

Z żałobnej karty. — D. 10 sierpnia r.b. zmarł ś. p. **Aleksander hr. Wodzicki**, syn Antoniego, ziemianin i wybitny myśliwy prawidłowy. Liczył lat 50.

— **Tryumf polskiego prawa łowieckiego.** Pod takim tytułem pisze „Kurjer Czerwony" między innemi:

Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem powitane zostało radośnie przez cały świat myśliwski i po za Polską, jako zwiastujące nową epokę myślistwa. Łowiectwo jest dziś ważną gałęzią bogactwa narodowego. Nowa polska ustawa łowiecka osiągnęła niebywały tryumf zagranicą. Pisma fachowe wszystkich krajów stawiają ją za wzór do naśladowania. Największym naszym tryumfem pod tym względem były głosy prasy niemieckiej. Niemcy, idący dziś na czele pod względem kultury łowieckiej, odzywają się o naszem nowem prawie z najwyższym entuzjazmem, chwalą duch myśliwski ustawy i jej nowoczesność. Pochwała ta posiada dla nas wielkie znaczenie i oznacza poważny tryumf polskiego prawodawstwa. Posiada ona pozatem i wewnętrzne znaczenie, jako nauczka dla różnych domorosłych krytyków, którzy po za zagranicą nie widzą nic mądrego i dobrego. Okazuje się, że czasem i ta zagranica stawia Polskę jako wzór. Po za Niemcami prawo nasze łowieckie spotkało nadzwyczaj życzliwe przyjęcie we Francji, na Węgrzech, w Czechach, w Austrji i w Rumunji. Przy nowelizowaniu wszystkich prawodawstw myśliwskich odegra ono niewątpliwie ważną rolę.

Syfilis zajęcy. — P. Hieronim hr. Tarnowski stwierdza w „Łowcu" lwowskim, że syfilis u zajęcy wystąpił w roku zeszłym w Małopolsce tam, gdzie dla masowej hodowli zajęcy wytępiono doszczętnie lisy. Zdaniem hr. T., jeżeli nie jednym z powodów bezpośrednich tej choroby, to w każdym razie jedną z przyczyn, które stworzyły podatne dla syfilisu podłoże, było to, że reproduktorami i matkami stawały się indywidualnie słabe i chorowite sztuki, które byłyby się stały w młodym wieku łupem lisów, gdyby naturze pozostawiono jej bieg przyrodzony.

ZAWODY STRZELECKIE.

= **Wynik zawodów narodowych.** W Toruniu zakończyły się trwające tydzień cały, 4-e Narodowe Zawody Strzeleckie. Rozegrano strzelanie o mistrzostwo Polski w 9-ciu konkurencjach. Strzelanie o mistrzostwo Polski z broni długiej na 300 mtr. 1) kpt. Gościewicz (C.S.S.) 367 pkt.

W klasyfikacji Stowarzyszenia P. W. 1) Golański (Z. S. Warszawa) 309 p. Strzelanie o mistrzostwo Polski z broni długiej dowolnej 300 mtr.: 1) kpt. Gościewicz (C.S.S.) 940 pkt. na 1200 możliwych. Wśród zawodników cywilnych pierwszym był p. Rutecki (Legja, Warszawa) 836 pkt.

Strzelanie o mistrzostwo Polski z broni krótkiej na 20 m. 1) Sebera (komendant garnizonu Przemyśl) 107 pkt. na 120 możliwych. Z cywilnych pierwszym p. Sojka (Zw. ofic. rezerwy) 90 pkt. Z pań pierwszą była p. Stawarzowa (WKS. 4 p.p. 1. Kielce) 78 pkt.

Strzelanie z broni krótkiej dowolnej do sylwetek na 25 mtr. 1) Por. Ciejko (4 p. strz. konnych Płock) 18 figur, 88 pkt.

Strzelanie o mistrzostwo Polski z broni krótkiej dowolnej na 50 mtr. 1) mjr. Wrzosek (80 pp.) 480 pkt. (nowy rekord Polski) 2) Grożański (48 pp.) 476 pkt., 3) Drohojewski (Małopolskie Tow. Łowieckie Lwów) 465 pkt.

Strzelanie o mistrzostwo Polski z broni długiej małokalibrowej na 50 mtr. 1) p. Rutecki (Legja Warszawa), ustanawiając nowy rekord 392 pkt. na 400 możliwych.

Strzelanie o mistrzostwo Polski do jelenia. Strzał pojedyńczy na 100 mtr. Mistrzem Polski został p. kpt. Jabłoński (65 p. p.) 20 pkt., 2) por. Osiński (64 p. p.) 19 pkt., 3) Drohojewski (Małop. Tow. Łow. Lwów) 17 pkt.

Strzelanie myśliwskie o mistrzostwo Polski do jelenia na 100 mtr., strzał podwójny: 1) kpt. Lewiński (34 p. p.) 34 pkt. na 50 możliwych, 2) Szczepkowski (Milanówek) 33 pkt., 3) mjr. Pazderski (34 p. p.) 33 pkt.

Strzelanie o mistrzostwo Polski do rzutków. Zwyciężył p. Rosenwert (Warsz. Tow. Łow.) 43 pkt., 2) Kiszkorno (Warsz. Tow. Łow.) 42 pkt.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

Hodowla zwierząt futerkowych. — Niedawno powstało Zjednoczenie Europejskich Związków Producentów-Hodowców Zwierząt futerkowych. W ramach jego działalności producenci niemieccy postanowili rozpocząć na wiekszą skalę hodowlę kun i srebrnych lisów.

Kuny sprowadzane będą z Północnej Ameryki po 3.000 marek za parę. Lisy srebrne z Kanady i Kamczatki w cenie od 10 — 14 tysięcy marek za parę. Główna hodowla ma być prowadzona naturalnie w pobliżu Lipska.

Polska, posiadająca, szczególnie na Kresach, znaczne tereny nadające się do tego rodzaju hodowli, powinna również utworzyć u siebie związek hodowców, przystąpić do europejskiego zjednoczenia i korzystać z jego wskazówek i doświadczeń. W gazetach polskich zjawiły się już nawet ogłoszenia firm francuskich i belgijskich, które oferują na sprzedaż hodowlaną srebrne lisy i norki kanadyjskiej prowenjencji. W Polsce trzebaby szczególny nacisk położyć na hodowlę bardzo cennej wydry, z której hodowli na Polesiu możnaby osiągnąć miljonowe sumy w naszym bilansie handlowym.

Skóra rekina. Punktem bardzo ożywionego handlu skórami rekinów jest wysepka Key - West, położona blisko Florydy w zatoce Meksykańskiej. Okazało się, że skóry rekinie są tak trwałe, iż górują pod tym względem nad wszystkimi innymi rodzajami skór; to też są one używane w różnych odcieniach na torebki, rękawiczki, kapelusze i obuwie damskie. Ponieważ zaś są bardzo drogie, więc traktowane są jako przedmiot zbytku.

W zatoce Meksykańskiej znajdują się całe roje rekinów. To też urządzano tam na nie polowanie jeszcze na długo przed stwierdzeniem, że skóra ich jest tak znakomita. Polowano zaś głównie ze względu na mięso, które w stanie suszonym, jako stokfisze wędrowało do Tunisu, Algieru i Marokka. Pozatem otrzymuje się z wątroby rekina doskonały tran, a chińczycy chętnie zakupują płetwy rekinie, uchodzące w państwie niebieskiem za smakołyk. Zęby rekina idą na wyrób różnych ozdóbek z kości.

Z zapałem poluje się jednak od czasu, gdy stwierdzono, jak cenna jest ich skóra. Trafiają się okazy, mające około tysiąca kilogramów. Zabite sztuki wędrują na wyspę Key-West, gdzie są specjalne garbarnie dla skór rekinich.

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE.

+ **Ptaki przez Atlantyk.** — Wobec transatlantyckich prób lotników, przyrodnicy zaczęli badać możliwości ptaków w tym kierunku. Trochę szczegółów o tem podaje „Kurjer Polski": Ptaki niezmiernie rzadko zdobywają się na przefrunięcie oceanu. Loty transatlantyckie ptaków udają się tylko w razie jakichś specjalnie pomyślnych wiatrów, ewentual-

nie tylko wtedy, o ile mogą one odpocząć na jakimś przypadkowo spotkanym okręcie. Ornitologom udało się stwierdzić lot transatlantycki ptaków w kierunku z Ameryki do Europy, nigdy prawie natomiast nie notowali udałego lotu w kierunku odwrotnym. Dyrektor muzeum przyrodniczego w Berlinie, dr. Stresemann oświadczył, że w całej swej praktyce ornitologicznej dwa razy tylko udało mu się skonstatować lot transatlantycki mewy w kierunku z Europy do Ameryki. Mewy mogą odpoczywać, siedząc na falach; inne ptaki nie potrafią pływać i giną w odmętach wodnych już na początku przeprawy. H. F. Witherbey opowiada o udałym locie transatlantyckim z Europy do Ameryki stada czajek. Jeden ze schwytanych ptaków miał na szyi pierścień, który wskazywał, że ulągł się on w Cumberland (Anglja). Dalsze badania ustaliły, że czajki, które nagłe mrozy wypędziły z brzegów angielskich, rozpoczęły lot w kierunku zachodnim i dostały się w obręb silnych prądów powietrznych, które całe stado uniosło z szaloną szybkością w kierunku Ameryki. Dzięki tej wyjątkowej okoliczności stado zdołało przelecieć Atlantyk w ciągu 22-ch godzin.

+ **Sposób na tygrysa.** — Słynny podróżnik angielski Vierties, nieustraszony badacz Indyj, kilkakrotnie w życiu przemierzył dżungle, uzbrojony w dzień w doskonałą strzelbę, w nocy zaś — w lep na muchy. „Nie znam co to strach przed napaścią tygrysa w nocy", opowiada pan Vierties, „odkąd przekonałem się, że tygrys ma wstręt do wielu rzeczy, a zwłaszcza nie znosi dotknięcia czegoś lepkiego. Kładąc się na spoczynek, otaczam obozowisko kilkakrotnie paskami lepu na muchy. „Czuję się wtedy bezpieczniejszy, niż za najwyższym murem", — mówi podróżnik. „Żaden tygrys, a znam tygrysy bardzo dobrze — dotknąwszy końcem łapy lepu, nie odważy się stąpać całą stopą". Mruczy gniewnie i odchodzi.

+ **Ofiary dzikich zwierząt.** — Ukazała się statystyka urzędowa dotycząca Indyj angielskich, z której m. in. wynika, iż w roku ubiegłym ofiarą dzikich zwierząt drapieżnych w Indjach padło 22.000 osób. Z tego 20 tysięcy wypadków śmiertelnych spowodowanych zostało przez ukąszenie jadowitych węży, 2.300 osób zaś zginęło w paszczy tygrysów, leopardów, wilków, słoni, hien, krokodyli, szakali i t. d. Rząd wypłacił w roku ubiegłym około 10 tysięcy funtów szterlingów jako premje za ubite zwierzęta drapieżne. Zostało zabitych w roku ubiegłym 57 tysięcy węży jadowitych i 14.400 dzikich zwierząt.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.

Redaktorzy: **Juljan Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Centr. Związek Polsk. Stow. Łowieckich.**

Zakł. Druk. P. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.